
Tematy, których nie da się uśpić

Z Jerzym Jedlickim rozmawia Anna Zawadzka

Jerzy Jedlicki: Nikt mi niczego nie odradzał. Jediną osobą, która świadomie lub odruchowo przestrzegła mnie przed podejmowaniem pewnych tematów, byłem ja sam. Były trzy takie tematy: Polacy i Żydzi w okresie okupacji, Izrael i Palestyna oraz ateizm i wiara.

Wszystkie trzy mają ogromny ładunek emocjonalny. Żaden z nich nie dotyczy spraw całkowicie wystudzonych. Wszystkie one stawiały mnie w sytuacji konfliktu między dwiema różnymi wartościami. Upraszczając, można by powiedzieć, że jest to konflikt między prawdą a taktyką. Nie oddaje to jednak istoty rzeczy. Czy na pewno chodzi o prawdę? Mój pogląd na każdą z tych kwestii uważam za trafny, to znaczy zgodny z prawdą. Ale mój pogląd zmieniał się, a prawda zmieniać się nie miała powodu. Powiedzmy więc ostrożniej, że chodzi o taką wartość, jaką jest mówienie pełnym głosem tego, co się myśli. Wtedy jednak mityguje nas niepewność, jaki będzie oddźwięk społeczny wypowiedzenia własnego stanowiska. Czy taka ostrożność zasługuje na miano tchórzostwa? W jakiejś mierze tak, bo składa się na nią lęk przed dezaprobatą czy też niechęcią środowiska, ale także obawa, że nasza otwartość może przynieść skutki przeciwne zamierzonym. Żyjemy w kulturze ekspresjonistycznej: powszechnie deklarowaną wartością jest prawo do mówienia wszystkiego, co się myśli, ale tylko nieliczni zastanawiają się, jaki to będzie miało efekt. Tymczasem artykułowanie – często z emfazą – tego, co się za prawdę uważa, nie zawsze jest rzeczą korzystną. Zarówno w życiu publicznym, jak i prywatnym szczerłość może przynosić szkody. Zawsze jednak znajdują się tacy, co powiedzą, że prawdę, całą prawdę, trzeba mówić bez względu na koszty i skutki.

1

W przypadku tematu pierwszego konflikt między prawdą a oględnością został w ostatnim dziesięcioleciu rozstrzygnięty.

Anna Zawadzka: Na korzyść prawdy?

Tak. Nie powiedziano jeszcze wszystkiego, ale ukazały się publikacje pozbawione wcześniejszego stłumienia. Należy tu wymienić szczególnie książki i artykuły Jana Tomasz Grossa, całego zespołu Centrum Badań nad Zagładą Żydów, Joanny Tokarskiej-Bakir, Elżbiety Janickiej, Tomasza Żukowskiego i szereg innych. Sam wypowiedziałem się na ten temat dopiero w artykule *Bezradność* [Jedlicki 2009].

Kiedy po raz pierwszy Pan sobie tego tematu odmówił?

W 1963 r. Władysław Bartoszewski w „Tygodniku Powszechnym” zaapelował, by przesyłać mu wspomnienia o Polakach, którzy ratowali Żydów w czasie okupacji. Uznałem tę inicjatywę za słuszną i trafną. Sądziłem, że od tego należy zacząć. Muszę tu nadmienić, że okupacyjne doświadczenia mojej rodziny były w przeważającej mierze dobre. Ukrywaliśmy się po aryjskiej stronie, funkcjonując niemal „normalnie”, tyle że w innej dzielnicy Warszawy i na fałszywych papierach. Od starych i nowych znajomych doświadczyłem więcej dobrego niż złego, nie miałem więc powodu do osobistych gorzkich resentymentów. Choć patrzyłem na wojnę z perspektywy osoby ściganej, najstraszniejsze doświadczenia zostały mi oszczędzone. Miałem jednak świadomość, że jest to zaledwie część obrazu. Z losów mojej rodziny, z moich własnych przeżyć, z rozmów z kolegami szkolnymi (którzy do czasu uważali mnie za swojego), z rozmów zasłyszanych w tramwaju – wyłaniał się obraz o wiele bardziej złożony. Na ankietę Bartoszewskiego odpowiedziałem natychmiast, nie kryjąc zawstydzających zdarzeń w moim okupacyjnym otoczeniu. Matka zgodziła się złożyć swój podpis pod moją relacją¹, ponieważ zdawało mi się, niesłusznie, że świadectwo osoby wówczas dorosłej więcej waży niż świadectwo dziecka. Relacja opublikowana w „Tygodniku Powszechnym” wywołała – jak się dowiedziałem z redakcji – mnóstwo listów od czytelników oburzonych tym, że ktoś z ocalonych miał czelność wspomnieć o antysemityzmie przełożonego internatu oo. marianów, w którym spędziłem rok 1943/1944. Cały ten ustęp złagodziłem zatem przed wydaniem książki *Ten jest z ojczyzny mojej* [Bartoszewski, Lewinówna (oprac.) 1967].

Zrozumiałem wtedy, że jeszcze nie dojrzał czas, aby mówić głośno całą prawdę, a najmniej chcą jej słuchać ludzie szlachetni, którzy gorąco pragną zachować w sercach nieskazitelny wizerunek swego narodu. Są pośród nich także Polacy pochodzenia żydowskiego, którzy postanowili – wbrew wszystkiemu – tutaj spędzić resztę życia.

Bartoszewski otworzył temat, tymczasem ciąg dalszy odkrywania prawdy o stosunku Polaków do Żydów podczas okupacji nie nastąpił?

Od tamtej pory „Sprawiedliwi” funkcjonują w roli polskiego alibi. Było dla mnie jasne, że stawianie problemu: „których było więcej: tych, co pomagali, czy tych, co denuncjowali?” jest całkowicie błędne. Przez wszystkie te lata byłem świadom jednostronności i nierzetelności sporów o zdekonstruowaną już dzisiaj rolę „świadków” Zagłady. Arytmetyka, ile Polacy w stosunku do innych narodów posadzili drzewek w ogrodzie Yad Vashem, jest niedorzeczna. Przesłania ona właściwe zagadnienie, czyli antropologiczną analizę kultury i norm środowiskowych tamtego czasu. Świetnie opisała to Elżbieta Janicka w artykule, w którym dowodzi, wbrew konwencji, że to właśnie ci, co pomagali Żydom przeżyć, łamali normę społeczną [Janicka 2008].

1 Zrazu podpisała ją, jak jej zasugerowałem, przedwojennym nazwiskiem. Już po jej śmierci, pod wpływem wydarzeń 1968 r., w drugim wydaniu książki, o której niżej, dodałem nazwisko okupacyjno-powojenne.

Nigdy Pana nie kusilo, żeby o tym pisać?

Kusilo, ale nigdy się na to nie zdecydowałem.

Co Pana powstrzymywało?

Tu jest klucz do całej sprawy. Zaczniemy od poziomu odruchów. Gdy w sklepie albo w pociągu ktokolwiek zaczyna mówić o Żydach, natychmiast kulę się w sobie. Bez względu na to, kto, jak i w jakiej intencji zacznie, wiem, co za chwilę nastąpi. Ten odruch powstrzymywał mnie przed poruszaniem tematów żydowskich w ogóle, chyba że w bezpiecznych niszach, takich, jak dyskusje w moim Instytucie Historii albo w Instytucie Badań Literackich na temat, dajmy na to, emancypacji Żydów w XIX w. lub kwestii żydowskiej w literaturze polskiej. Ale jest i argument całkowicie racjonalny. Wyrażali go ci oponenci Grossa, którzy starali się obiektywnie oceniać jego interwencję w polskie życie umysłowe. Argument ten brzmi: ton książek takich, jak *Sąsiedzi*, *Strach* i *Złote żniwa* podsyca polski antysemityzm, zamiast go gasić.

To jest zarzut, z którym spotyka się także zespół Archiwum Etnograficznego: badając żywotność antysemitycznych przesądów, *de facto* je wywołujemy.

Zarzut nie jest bezsensowny. Nie przepadam wprawdzie za takim typem myślenia, który leży u podstaw arytmetycznej socjologii wyliczającej do drugiego miejsca po przecinku, czy antysemityzm wzrósł, czy spadł, jaki jego rodzaj i z czym koreluje. Niemniej badania takie pokazały, iż mówienie pełnym głosem w ostatnim dziesięcioleciu spowodowało znaczną polaryzację postaw, w szczególności zaś spowodowało (w latach 1992-2002) wyraźny wzrost „zdecydowanego antysemityzmu” [Krzemiński (red.) 2004: 29-30]. Trudno oczywiście stwierdzić w sposób bezsporny, że przyczyną tego wzrostu była reakcja na nagłośnioną sprawę Jedwabnego i *Sąsiadów* Grossa, ale wydaje się to wysoce prawdopodobne i nietrudne do wytłumaczenia. Przeciętny Polak czuje się osobiście zagrożony oskarżeniem, gdy obejmuje ono społeczeństwo, z którym się identyfikuje, a więc jego i jego przodków. A cóż dopiero, jeśli ten Polak miał już wcześniej skłonność do antyżydowskich uprzedzeń.

Ale czy naprawdę ktoś tu kogoś oskarża? Czy nie są to aby lękowe fantazje o tym, co jest w książkach Grossa?

To jest oskarżenie. Nawet jeśli nie jest w oskarżycielskim trybie formułowana, ujawniona publicznie wiedza o takich zbiorowych morderstwach, do jakich doszło w Jedwabnem, w Główczyńcu, w Kielcach i w wielu innych miejscach podczas wojny i po wojnie, jest oskarżeniem kultury katolickiej i narodowej polskiej, w której antysemityzm był bardzo ważnym, a niekiedy wręcz centralnym wątkiem. Czytanie prasy – nie tylko endeckiej – z lat 1911-1913 albo 1936-1939 nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości.

Tylko czy zaniechanie tematu byłoby lepszym wyjściem? Czy w dłuższej perspektywie taktyka przemilczenia się opłaca?

W dłuższej perspektywie okazała się zła. Wcale jej dzisiaj nie bronię. Byłem jednak, pamiętam, zaskoczony, gdy na przełomie wieków „Gazeta Wyborcza” zaczęła bardziej otwarcie, niż przywykliśmy, traktować sprawę stosunków polsko-żydowskich, ich historii i ich residuów. Zastanawiałem się, czy publikowanie czasem bardzo ostrych tekstów jest roztropne. Niemniej zasługą „Gazety Wyborczej” i jej redaktora naczelnego było wprowadzenie do debaty publicznej nowego, rzeczowego tonu w tematyce polskiego antysemityzmu. Ja jednak w tym zrazu nie uczestniczyłem: przez niemały jeszcze czas nurtowało mnie przekonanie, że lepiej uśpić temat, nie wracać do niego, a on stopniowo sam wygaśnie. Nie wygasł. Raz po raz dawał o sobie znać. Ostatecznie niewielkie grono autorów, wyżej wymienione, rozpętało burzę, która wciąż trwa. Wkrótce ukażą się *Okrzyki pogromowe* Joanny Tokarskiej-Bakir – książka nieprawdopodobnie drastyczna dla polskiego czytelnika, bo godząca w największą świętość Polaków: Armię Krajową [Tokarska-Bakir 2012]. Ośmielony przez tych badaczy i autorów, sam zacząłem pisać inaczej, bez zahamowań. Czy uwierzyłem, że prawda samą swoją mocą zniszczy fałsz i nienawiść, że ma własności terapeutyczne? Nie, tak naiwny się nie stałem. Uznałem jednak, zbyt późno, że mówienie pełnej prawdy jest samo w sobie wartością etyczną.

Wróć na chwilę do tego, co nazwał Pan odruchem. Myślę, że jest przejście między nim a kwestią taktyki. Jeśli publicznie głos zabiera osoba, o której wiadomo, że jest Żydówką lub Żydem, jej/jego głos zostaje natychmiast zmarginalizowany lub spersonalizowany.

Brałem pod uwagę, że może nie tacy jak ja powinni w tej materii być pierwsi. W antologii Bartoszewskiego owszem. Tam ja lub moja matka powinniśmy byli się znaleźć i tak też się stało. Natomiast dyskusję na temat polskiej odmiany europejskiego antysemityzmu – myślałem – niech inicjują ludzie z inną niż moja genealogią. Bo czy chcemy tego, czy nie, teksty są odbierane przez pryzmat wiedzy o ich autorze czy autorce, a nawet o jego czy jej pradziadkach, i powinniśmy być tego świadomi. Na stare lata jednak przestało mnie to obchodzić.

2

Czy w ogóle istnieją tematy, o których mówił Pan pełnym głosem, do końca i wszystko? Czy może ma Pan rodzaj wewnętrznej autocenzury bez względu na temat?

Chyba mam. Nie lubię języka radykalnego. Nie znoszę wyzwisk i epitetów. Bywam ostry, ale merytorycznie. Bywam złośliwy, ale nie napastliwy. Staram się nie obrażać, nie ranić, więc pewną autocenzurę stosuję automatycznie. Żeby dać przykład i od razu przejść do

drugiego tematu. Mój pogląd na izraelską okupację jest podobny do poglądu Zygmunta Baumana. Ja jednak nigdy nie pozwoliłbym sobie muru separującego Palestyńczyków od Izraela porównać z murem warszawskiego getta. Nikt, o ile wiem, nie ma pomysłu, by wymordować Palestyńczyków. W tyle głowy mam zakodowane doświadczenie dziecka, które okupację przeżyło. Inną, straszniejszą. Dlatego nie godzę się na porównywanie dwóch murów. Uważam je za niedopuszczalne.

Kiedy zainteresował Pana temat: Izrael i Palestyna?

Nie umiem tego dokładnie umiejscowić w czasie. Byłem wychowany w rodzinie od paru pokoleń zasymilowanej. Ideologia syjonistyczna nie interesowała mnie, podobnie zresztą jak wiara mojżeszowa. Ale w roku 1962 brat mój, Witold Jedlicki, opuścił Polskę i osiedlił się w Jerozolimie. Dla mnie była to wówczas decyzja trudna do zrozumienia. W latach 1967-1969 niektórzy z moich przyjaciół zdecydowali się na emigrację, ale do Europy lub Ameryki. Jednak jakoś w tym czasie, bodajże od wojny 1973 r., zacząłem zbierać *dossier* prasowe na temat Izraela i jego sąsiadów.

***Dossier* na temat okupacji?**

Głównie. Kiedy w 1988 r. pojechałem po raz pierwszy do Izraela na polsko-żydowską konferencję historyczną w Jerozolimie, byłem już nienajgorzej zorientowany w sytuacji. To był czas pierwszej *intifady*. Mój brat działał w Izraelskiej Lidze Obrony Praw Człowieka, bardzo niewielkiej wówczas, lewicowej organizacji. Dostałem od niego materiały o traktowaniu ludności palestyńskiej na terenach okupowanych. Byłem tym poruszony. Z dwiema polskimi koleżankami pojechałem do Betlejem, gdzie krótki czas spędziliśmy w Bazylice Narodzenia, a dłużej obserwowaliśmy izraelskie patrole na głównym placu miasta i patrzące na nich z nienawiścią dzieci.

Od tamtej pory moje *dossier* puchło. Brat tłumaczył z hebrajskiego na angielski broszury informacyjne Ligi. Później w Stanach Zjednoczonych poznałem Israela Shahaka, przewodniczącego Ligi, bardzo ciekawego i oddanego sprawie człowieka, z którym do jego śmierci utrzymywałem kontakt korespondencyjny. Nie miałem, i do dzisiaj nie mam, żadnych kontaktów z intelektualistami palestyńskimi. Miałem natomiast kontakty z izraelską lewicą, z garstką ludzi, którzy poświęcili swoje często stare lata walce z reżimem okupacyjnym. Od nich dowiadywałem się o polityce nieustannego upokarzania Palestyńczyków, a także Arabów izraelskich, choć ich sytuacja jest o wiele lepsza. Nie wchodzę w dyskusję, czy wojna i okupacja były konieczne. Wiem natomiast, że okupację można robić na różne sposoby. Ta była i jest brutalna, bezwzględna i coraz bardziej wielkopańska. Traktuje się Palestyńczyków i Arabów jak podludzi, wyłącza się ich, separuje, kolonizuje okupowany kraj, utrudniając jego mieszkańcom życie na sto sposobów.

Nic Pan o tym nie napisał?

Nie napisałem. Raz czy dwa powiedziałem coś półgębkiem. Amira Hass – mieszkająca niegdyś w Gazie, a dziś bodaj w Ramallah, dzielna izraelska dziennikarka z „Haaretz” – spytała mnie kiedyś, dlaczego polska prasa, już niecenzurowana, nie pisze o realiach izraelskiej okupacji, o polityce osadnictwa na Zachodnim Brzegu. Tłumaczyłem jej różnice kontekstów. Próbowałem przekonać ją, że artykuł w „Gazecie Wyborczej” zostanie zupełnie inaczej odczytany i wykorzystany niż artykuł w „Haaretz”. Nie przekonałem. Ale nie zdołałem też przekonać samego siebie, że powinienem próbować przełamać to milczenie.

Bał się Pan braw z niewłaściwej strony?

Na przykład. „No proszę, to są te same Żydki. Tacy oni są, jak tylko mają władzę, siłę, panowanie” – takich głosów się bałem. I wsparcia z takiej strony.

Ja z kolei boję się reakcji tego środowiska, w którym każda krytyka Izraela zostaje natychmiast utożsamiona z antysemityzmem.

To oczywiście także wchodziło w grę. Czasem z powodu silnych związków z Izraelem, a czasem z powodu historycznej ekspiacji polska opinia publiczna jest dzisiaj w znacznej mierze proizraelska: w każdym razie Izrael jest uważany za kraj europejski, podczas gdy Arabów się nie znosi, pogardza się nimi, co poświadcza wiele badań antagonizmów narodowościowych. Z drugiej strony mamy teorię o lewicowym antysemityzmie, który pod pretekstem krytyki Izraela przemycza antysemicką propagandę. Tu trzeba uważnie rozróżniać, co jest trafną przestrogą, a co pełną hipokryzji obroną izraelskiego nacjonalizmu. Dlatego najbardziej ufam źródłom z samego Izraela. Dostaję stale przez internet biuletyny Izraelskiego Stowarzyszenia Praw Człowieka (ACRI), a wcześniej jeszcze organizacji lekarzy, która walczyła o dostęp Palestyńczyków do izraelskich szpitali, znacznie lepiej wyposażonych. Karetkami przewożą oni chorych wymagających specjalistycznej kuracji z terenów okupowanych do izraelskich placówek medycznych i opisują, jak wyglądają przeprawy przez punkty kontrolne. Informacje od nich są z pierwszej linii frontu. Niemniej, licząc się z polskim kontekstem, sam się dławiałem.

Jak ocenia Pan aktualne otwarcie tego tematu w Polsce?

Jest lepiej. Cenię wysoko korespondencje Romana Fristera w „Polityce” oraz artykuły Pawła Smoleńskiego o Izraelczykach i Arabach w „Gazecie Wyborczej”. Te i jeszcze inne świadczą o przełamaniu pieczęci milczenia.

Czy Pan się bał, że otwierając ten temat, komuś zaszkodzi?

Że osobiście komuś – nie. Bałem się, że rozjątrzę. Czasem świadomie, czasem odruchowo chciałem, by to przyszło. Stało się przeciwnie. Sprawa palestyńska jest na nowo rozogniona w całej Europie. Dzisiaj jednak myślę, że trzeba o tym pisać i mówić ostro, bez taryfy ulgowej. Nie chcę oceniać, czy słuszne było, czy nie, że nie zabrałem na ten temat głosu. Nie usprawiedliwiam się, ani nie oskarżam. Mówię o pewnym syndromie.

3

W sprawie „ateizm i wiara” też Pan się nigdy nie wypowiedział?

Ten temat ma nieco inny charakter, choć także jest konfliktem między dwiema powinnościami czy może wartościami. Tutaj muszę zrobić wtręt autobiograficzny. Jak już wspominałem, zostałem wychowany bez żadnego kontaktu z tradycją żydowską. Od wczesnego dzieciństwa byłem ewangelikiem reformowanym, a od okupacji rzymskim katolikiem – wierzącym, praktykującym, a nawet ministrantem. Rozstałem się z wiarą w wieku szesnastu lat, już po wojnie. Nigdy nie odczuwałem imperatywu, aby opowiadać, dlaczego odszedłem od religii i Kościoła, i aby przedstawiać komukolwiek racje, które mnie do tego skłoniły, a może jeszcze do nich przekonywać. Uważałem to za sprawę prywatną. W przeciwieństwie do dwóch poprzednich tematów nie myślałem też, że mógłbym być tym, który powie „całą prawdę bez owijania w bawełnę”.

Do tego doszła jeszcze jedna okoliczność. Po marcu '68 prasa postępowo-katolicka – „Tygodnik Powszechny”, „Znak”, „Więź”, „Przegląd Powszechny” – zaczęła pozyskiwać autorów spoza kręgów kościelnych. Odtąd byłem u nich zawsze mile widzianym autorem. Nigdy nie odmówili mi publikacji tekstu niezamówionego. Opierało się to na niezwerbalizowanej umowie: nie spieramy się o sprawy światopoglądowe. Nikt z tego kręgu nie próbował mnie nawracać, ani nawet pytać o moją wiarę lub niewiarę. Ja z kolei, choć miałem ugruntowany światopogląd racjonalistyczny i tym samym ateistyczny, nigdy go nie manifestowałem, choć jakoś było to wiadome.

W środowisku twórczej inteligencji takich jak ja jest bardzo wielu. Prawie wszyscy stosowali ten sam unik. Ci, którzy tego uniku nie robili – bo publikowali w czasopiśmie takich, jak „Bez Dogmatu” albo „Res Humana” – skazywali się na niszowość i marginalizację. Ich poglądy postrzegane były na ogół jako skrajne, choć wcale skrajne być nie musiały. Ale to ciągle te same 15 czy 20 nazwisk. Katolicy mają swoich reprezentacji medialnych, prasowych i wydawniczych bez liku: otwartych i zamkniętych, mądrych czy prymitywnych, na wysokim lub żałosnym poziomie, teologicznych, politycznych, ludowych, populistycznych – do wyboru. Tymczasem światopogląd racjonalistyczny prezentowany jest przez rzadkie, pojedyncze teksty i publikacje. To nie jest dobra sytuacja. Owszem, Stanisław Obirek prowadził niegdyś w Krakowie pismo jezuickie „Życie duchowe” i zapraszał do

niego zdeklarowanych ateistów, co było, nie tylko w moim mniemaniu, godne uznania. Ja sam jednak, chociaż mnie zapraszał, nie zabrałem głosu, nie byłem na to jeszcze gotowy. A wkrótce potem redaktor rozstał się najpierw z pismem, później z zakonem i z Kościołem. Szczęśliwie jego postawa i życzliwa na nią odpowiedź grona niewierzących, w szczególności profesora Jana Woleńskiego, zaowocowały paroma ważnymi książkami [Wolańczyk (red.) 2002; Obirek 2005; Woleński 2004].

Czy Pan sobie ten temat odradzał, czy też w ogóle nie widział Pan powodu, by zabierać w tej sprawie głos?

Raczej to drugie. Nie byłem zainteresowany „nawracaniem” kogokolwiek na ateizm. Miłosz kiedyś napisał, że nie można mówić ludziom, że nie ma Boga, bo to czyni ich nieszczęśliwymi. Nie wiem, czy wszystkich. Ja nie czuję się nieszczęśliwy z powodu mojej niewiary. W Polsce nie wiara jest silna, lecz dziedziczone przywiązanie do niej. Wiedza i kultura religijna są mierne i zrytualizowane. Ludzie więcej wiedzą o obrzędach liturgicznych niż o teologicznych podstawach wiary. Oczywiście inaczej to wygląda wśród intelektualistów katolickich: przed niektórymi spośród nich chylę ze czcią głowę, wszelako filozoficzne argumenty wierzących i niewierzących najczęściej mijają się, zamiast się krzyżować.

A jednak chodzi Panu po głowie, by spróbować je skrzyżować.

Bo jestem stary i wydaje mi się, że to, co człowiek myśli, powinien gdzieś powiedzieć albo pozostawić na piśmie czy choćby w swoim komputerze. Zdecydowanie na przykład odrzucam pospolity pogląd, jakoby ludziom czy społeczeństwom bez religii pozostawał tylko nihilizm, i temu sprzeciwowi chciałbym dać jakiś wyraz. W swoich późnych pracach Leszek Kołakowski pisał, że nie ma innego uprawomocnienia podstaw etyki niż religijne [Kołakowski 1987: 135, 143]. Na to z powagą odpowiedziała Lena Eilstein i w tym sporze jestem po jej stronie [Eilstein 1994: zwł. 207-209]. Po pierwsze nie uważam, by problem uprawomocnienia etyki był szczególnie istotny. Przekonania i postawy etyczne można oceniać ze względu na to, jak przekładają się na motywy postępowania, jak funkcjonują, a nie na to, czy wynikają z przeświadczeń o ich nadaniu z mocy wyższej, czy też obywają się bez takich odwołań. Z Leną przyjaźniłem się, zwłaszcza w ostatnich latach jej życia, i spodziewałem się, że jej późne prace, nade wszystko monumentalna *Biblia w ręku ateisty* [Eilstein 2006], wzbudzą dyskusję, spory. Nic z tego: przeszły zupełnie bez echa.

A mimo to nie zdecydowałem się zabrać głosu, choć jakieś na ten temat wypowiedzi zaczęły ostatnio tu i ówdzie kiełkować. Nie odważyłem się – trochę z obawy o zarzut niekompetencji, niedostatecznej znajomości piśmiennictwa. Koniec końców jako wykwalifikowany pracownik naukowy zajmuję się XIX w. A kiedy opowiadam Pani o tematach, których – choć mnie nęciły – nie odważyłem się tykać, to mam na myśli moją twórczość eseistyczną, czyli amatorską, a za nią zawsze najprędzej można oberwać.

Grudzień 2011 r.

Bibliografia

Bartoszewski Władysław, Lewinówna Zofia (oprac.), 1967, *Ten jest z ojczyzny mojej: Polacy z pomocą Żydom 1939-1945*, Kraków: Znak 1967; wyd. 2: 1969; wyd. 3: Warszawa: Świat Książki 2007.

Eilstein Helena, 1994, *Homo sapiens i wartości. Eseje*, Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.

Eilstein Helena, 2006, *Biblia w rękach ateisty*, Warszawa: Wydawnictwo Instytutu Filozofii i Socjologii PAN.

Janicka Elżbieta, 2008, *Mord rytualny z aryjskiego paragrafu: o książce Jana Tomusza Grossa „Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści”*, „Kultura i Społeczeństwo”, nr 2, s. 229-252; przedruk w: *Przeciw antysemityzmowi 1936-2009*, oprac. Adam Michnik, t. 3, Kraków: Universitas 2010, s. 454-487.

Jedlicki Jerzy, 2009, *Bezradność*, „Gazeta Wyborcza” z 27 czerwca 2009; przedruk w: *Przeciw antysemityzmowi 1936-2009*, oprac. Adam Michnik, t. 3, Kraków: Universitas 2010, s. 1016-1025.

Kotakowski Leszek, 1987, *Jeśli Boga nie ma... O Bogu, Diabie, Grzechu i innych zmartwieniach tak zwanej filozofii religii*, Londyn: ANEKS.

Krzemiński Ireneusz (red.), 2004, *Antysemityzm w Polsce i na Ukrainie: raport z badań*, Warszawa: Scholar.

Obirek Stanisław, 2005, *Przed Bogiem*. Ze Stanisławem Obirkim rozmawiają Andrzej Brzeziecki i Jarosław Makowski, Warszawa: W.A.B.

Tokarska-Bakir Joanna, 2012, *Okrzyki pogromowe*, Wołowiec: Wydawnictwo Czarne (w druku).

Wolańczyk Maria (red.), 2002, *Co nas łączy?: Dialog z niewierzącymi*, Kraków: Wydawnictwo WAM.

Woleński Jan, 2004, *Granice niewiary*, Kraków: Wydawnictwo Literackie.